Świat powieściowy.

Pismo tygodniowe belletrystyczne.

Wychodzi we Lwowie w każdą niedzielę.
Administracja: ulica Grodzickich l. 4. w drukarni narodowej W. Manieckiego.

Nr. 3.

dnia 19. Grudnia 1880.

Prenumerata wynosi wraz z przesyłką pocztową:
kwartalnie . . . 2 zł.
półrocznie . . . 4 zł.
rocznie . . . . 8 zł.

ZDRAJCA.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA W DWÓCH TOMACH

przez Autora „*Marzycieli*“

TOM I.

Errare humanum est

ROZDZIAŁ III.

W DOMU PANA STERNA.

(*C. d.*) Pan Stern wracał powoli do domu, rozpiąwszy sobie surdut na piersiach, by mu trochę chłodniej było. Słońce w rzeczy samej coraz bardziej dokuczało, a gromadzące się na południu chmury ciężkie i czarne, zapowiadały burzę gwałtowną. W powietrzu było duszno, na drzewach żaden liść nie drgnął.

Domu pana Sterna nie można było nazwać pałacem, gdyż podobniejszym był do zrujnowanej kamienicy, niżeli do budowli okazałej, ale pan Stern chętnie tak nazywał swoją rezydencję i bardzo się gniewał, jeźli kto inaczej o niej się wyrażał. Ale chociaż pragnął, by świat cały dom jego pałacem nazywał, nic nie czynił, żeby go do pałacu zrobić podobnym.

Dawniejsi właściciele, przebywając stale za granicą, powierzali go opiece rządców i ekonomów, którzy nie tyle o nim, ile o swoich kieszeniach pamiętali. To też pod ich okiem troskliwem, dach nad pierwszem piątrem cały się zawalił, mury u dołu tak się zawilgociły, że miejscami aż mchem porosły; wschody powykrzywiały się i gnić zaczęły, drzwi powychodziły z zawiasów, nakoniec z połowy frontu tynk odpadł. Nowy dziedzic tyle tylko zrobił, że jako tako wyporządził sobie kilka pokoików, by mu się za kołnierz nie lało; resztę pozostawił w dawnym stanie. Tym sposobem duża ta budowla wyglądała jak wielka rudera.

Jakkolwiek pan Stern uważał się nie tyle za właściciela dóbr ziemskich, co za wielkiego przemysłowca, pod samym bowiem Ludaczowem miał młyn parowy, browar i gorzelnię, a na dalszych folwarkach jeszcze trzy inne gorzelnie, mimo to w niczem nie był podobnym do prawdziwego przemysłowca z Zachodu. Przemysłowiec francuski, angielski, nawet niemiecki, uważa przemysł za swoje powołanie, a pracę w fabryce za cel swego życia. Wprawdzie stara on się usilnie, by ta fabryka jak największy dochód mu przynosiła, lecz z drugiej strony, na wzór rolnika, który z zamiłowaniem ziemię uprawia, nie porzuca on jej i wtedy, gdy w skutek nieprzyjaźnych stosunków przynosi mu 2 lub tylko 1 od sta. Często nawet zdarza się, że otrzymawszy od ojca fabrykę w spuściźnie, przez długie lata z gotowych pieniędzy do niej dokłada, byle nie zmarnować tego, co mu ojciec przekazał i nie rozminąć się ze swojem powołaniem. Krótko mówiąc, przemysłowiec Zachodu oddaje się swemu zawodowi całą duszą, i dlatego to jego wyroby zwyciężają na wszystkich targach, a praca rąk jego przynosi bogactwo jemu i krajowi. On tak jest przywiązany do swego zawodu, że choćby mu banki nierównie większe odsetki od włożonego kapitału bez pracy zapewniały, woli dla mniejszych nieraz dochodów fabryki zakładać i od świtu do nocy w nich pracować. Każdy taki przemysłowiec, wiedząc, że fabryka jest celem jego życia, udoskonala ją z dniem każdym, i jak ojciec dba o wszystko, co się do niej odnosi. Dzięki tej pieczołowitości, w budynkach widać ład i czystość, robotnicy jego mają mieszkania wygodne i zdrowe,

nareszcie on sam ma dom ile możności piękny, otoczony kwiatami i dużych drzew zielenią. Taki przemysłowiec, to błogosławieństwo boże. Praca jego jest dla drugich przykładem, a pieniądz, który zarabia, prawdziwą siłą, ożywiającą arterje kraju rodzinnego.

Pan Jakób Stern był wcale innym przemysłowcem. Jemu szło nie o zamiłowanie, lecz o pieniądze. To też mało mu na tem zależało, jakiej rzeczy się chwytał, byle mu ona znaczne dochody zapewniała.

Dziś był młynarzem i fabrykantem gorących napojów, jutro mógł z tą samą łatwością chwycić się wyrobu maszyn rolniczych lub handlu zbożem. Odsetki od papierów wartościowych przynosiły sześć i pół od sta; ponieważ według jego przekonania, taki procent jest właściwie żadnym, więc rzucił się na pole przemysłu i przedsiębiorstw, które mogły mu dać 15 i 20 od sta. Za tem postanowieniem poszło, co pójść musiało. Oto wszystko było ku temu skierowane, żeby każda rzecz jak największy dochód przynosiła. Dla tego dom jego wyglądał jak rudera; w pokojach niezamieszkanych był skład zboża i ziemniaków; ogród angielski uległ zupełnemu zniszczeniu, najpiękniejsze bowiem drzewa wyrąbano na paliwo; cieplarnie zawaliły się zupełnie, a w miejscu gdzie niegdyś najpiękniejsze były z kwiatów kobierce, rosła teraz koniczyna dla koni. I nie tylko koło domu tak wyglądało. Droga do młyna prowadząca, była w najwyższym stopniu zaniedbana, młyn sam był obdarty i jakby stary, choć dopiero lat kilka jak go postawiono; mieszkań dla robotników nigdzie nie było, krótko mówiąc, na każdym kroku czuło się tę smutną prawdę, że właściciel tych dóbr i fabryk, uważając teraźniejsze swoje zajęcie za chwilowe i przemijające, postanowił nic nie wkładać a jak najwięcej wyciągać. Za to gdy cel osiągnie, porzuci wszystko jak cytrynę wyciśniętą i z pieniądzmi nagromadzonemi tam pojedzie, gdzie mu będzie najprzyjemniej...

Stern zbliżywszy się do bramy ogrodowej, której jedna połowa na ziemi leżała, stanął i badawczy wzrok puścił po drodze do kaplicy św. Jana. Widać było że kogoś szukał, gdyż brwi ściągnął i w tej postawie stał długą chwilę. Zdaje się, że nikogo nie zobaczył, robotnicy bowiem, posiliwszy się objadem, spoczywali w cieniu za kaplicą, nieznajomy zaś podróżny, właśnie w tym samym czasie znajdował się o kilkadziesiąt kroków za plecami Sterna i to jemu, to dworowi uważnie się przypatrywał.

Stern zaklął niezrozumiale po żydowsku i wszedł do ogrodu. Tu na wstępie spotkał pokojowę swojej żony, dwunastoletnią Marysię, która biegła z uwiadomieniem, że „wielmożnego“ pana pani prosi. Przyspieszył kroku i wszedł do domu.

Pani domu, czterdziestoletnia Sara Stern, w stroju dość zaniedbanym, siedziała w swoim pokoju, w którym niewiadomo co należało więcej podziwiać, czy wystawę ze sprzętów kosztownych, zwierciadeł w ramach złoconych i licznych olejnodruków, któremi ściany tak były pokryte, że nawet nade drzwiami napróżno szukałbyś miejsca wolnego, czy też nieporządek, właściwy kobietom wschodnim. Na posadzce leżały szczotki, któremi dziewczyna niedawno ją czyściła; na fotelu widać było stanik od sukni; na oknie wisiało kilka spodnic nie pierwszej świeżości; obok kanapy spoczywało w błogim pokoju wiele innych przedmiotów, należących do toalety niewieściej, a między niemi pantofle podarte i z napiętkami połamanemi, bez których pani domu rano obejść się nie mogła.

Obok gospodyni domu, tłustej i dość apatycznie wyglądającej brunetki, siedział w sobolowej czapce na głowie, mężczyzna może pięćdziesięcioletni, z długą na pół siwą brodą. Twarz jego była regularna, wyrazista, poważna. Na sobie miał żupan czarny, jedwabny, takiż pas, trzewiki i białe pończochy. Kołnierz u koszuli był czysty. W ogóle wyglądał jak zamożny izraelita ze sekty chassydów.

Był to Izaak Beerman, rodzony brat pani Sary Stern, jeden z głośniejszych rabinów stolicy. Jadąc do Sadogóry na Bukowinę, w odwidziny do tamtejszego rabina, którego chassydzi galicyjscy za swojego naczelnika uważają, wstąpił po drodze do domu siostry, której od lat kilku nie widział. Podróż do Ludaczowa odbył budką najętą, w ścisłem incognito, w stroju niepokaźnym, aby go w drodze współwyznawcy nie napastowali. Lecząc się od niejakiego czasu na anewryzm serca, unikał owych przykrości, na które każdy rabin starowierców w podróży jest narażony. Zaledwie dowiedzą się, że jedzie „święty“ rabin, a któryż z nich nie jest świętym! tłumnie cisną się do niego, prosząc o radę i pomoc we wszelkich utrapieniach. Wprawdzie za każde słowo składają odpowiednią zapłatę, lecz

nie zawsze nagroda idzie w parze z trudami. Izaak Beerman był zamożnym, więc chwilowo myślał więcej o swojem zdrowiu, niż o pomnażaniu majątku i dla tego przez całą drogę ścisłe incognito zachowywał. Dopiero stanąwszy u siostry, przebrał się w suknie odświętne, aby ją i szwagra z godnością powitać.

Rozmowa między rodzeństwem nie była ani serdeczna ani ożywiona. Rabin ledwie kiedy niekiedy rzucił słowo urwane, na co siostra równie lakonicznie odpowiadała. Gdyby nie związki krwi między nimi, możnaby ich wziąć za dwie osoby całkiem sobie obce, które przypadkiem pierwszy raz się zobaczyły. Może winą tego była zbytnia powaga rabina, a może znana małomowność pani Sary Stern. Dopiero gdy wszedł sam gospodarz, rozmowa zrobiła się ożywioną, nawet hałaśliwą.

Stern ujrzawszy gościa dawno niewidzianego, kapelusz który w ręku trzymał, włożył natychmiast na głowę i uścisnąwszy go kilkakrotnie, zaczął z nim rozmawiać językiem prawdziwie żydowskim, w którym słowa hebrejskie i niemieckie, upstrzone gdzieniegdzie końcówkami słowiańskiemi, a wymawiane głosem charczącym, przeistaczają się w muzykę wstrętną dla ucha a straszną dla duszy. Któżby teraz w Sternie, rzucającym się na krześle, obryzgującym się śliną i charczącym jak najnędzniejszy tandeciarz, poznał właściciela Ludaczowa z przyległościami, bezwyznaniowca z giełdy wiedeńskiej, ojca Róży, wielbiciela Heinego, Offenbacha i Mackarta, *den fein gebildeten Mann*, za jakiego się poczytywał?

Gospodyni domu chcąc doglądnąć objadu, wyszła do kuchni, zostawiając mężczyzn samych. Ci rozmawiali przeszło pół godziny o najrozmaitszych interesach, poczem rabin zapytał swego szwagra, jak mu się powodzi i co nadal myśli robić.

— Jak mi się powodzi! — Stern zawołał. — Alboż w takim kraju przeklętym może się komu dobrze powodzić?! Mimo starań i zabiegów mam dotąd ledwie 18 od sta, a jakie przy tem ryzyko ponoszę... Ojoj! aż mnie głowa boli. Szczęście tylko moje, że głupia szlachta do reszty się rujnuje, więc na licytacji da się jeszcze nie jedno kupić.

— Jeźlibyś pieniędzy kiedy potrzebował — rabin przerwał — możesz u mnie mieć zawsze sześćdziesiąt tysięcy na 12 od sta.

— *Gefundenes Geld!* — odparł szwagier i dalej mówił: — Mam nadzieję, że niezadługo będą licytowali starego Gozdawę. Jaki majątek!... Ciu! ciu! ciu! — Tu kilkakrotnie cmoknął językiem. — Wart najmniej trzykroć, lecz jeżeli mi się uda, dostanę go najwyżej za 150.000.

— Czy ten Gozdawa już zrujnowany?

— Skończony łapserdak! Gdy to przeprowadzę, postaram się następnie, żeby mnie na Sejm wybrali, no i do Rady państwa... Ach! *der Reichsrath*, żeby tam się dostać! Niezadługo ma rząd budować nowe koleje... Izaak! ty rozumiesz, co to znaczy być w takich razach *ein Reichraths-abgeordneter* i do żadnego stronnictwa nie należeć!... Za udział w interesie można przerzucić się albo tu, albo tam... Izaak! ty nie darmo rabin, ty wiesz co to warte!...

— *Git Geschaeft!*... Ale mandat dostać nie łątwo. Czy sądzisz, że ci się uda?

— Czemu nie? A rozum od czego? Nasi wszyscy pójdą za mną, bo chociaż jem kiełbasę i mówię, żem bezwyznaniowy, oni wiedzą, że żydem jestem i zostanę, a co do szlachciców, tych mam w kieszeni. Potrzebuję tylko powiedzieć mówkę patrjotyczną, którą mój sekretarz doskonale mi ułoży, a złapię ich wszystkich razem jak rybę na wędkę.. Jak im powiem, że jestem Polak wyznania mojżeszowego, i że wszyscy żydzi powinni Polakom za to być wdzięczni, że król Kazimierz — *hörste* Izaak, ja nawet wiem, że on się Kazimierz nazywał — otóż że ten król dał u siebie żydom przytułek, jak im to powiem, to tak Polaki będą wołali: „Niech żyje! Wiwat!“ że się o tem aż *Neue freie Presse* dowie! Wiesz Izaak, to bardzo głupi naród.

— Tem lepiej dla nas — rabin przerwał.

— Pewnie że lepiej... Ani byś dał wiarę, jak oni już za to mnie kochają, żem moją Rózię kazał uczyć w polskim pensjonacie, i że trzymam sobie sekretarza, aby z władzami po polsku korespondować. A ja tymczasem postępuję jak cesarz Napoleon, który księcia Plon-Plon na to miał przy sobie, żeby ten grał zawsze rolę człowieka liberalnego. Naród słysząc, jak książę pięknie mówi, był pewny, że mówi z polecenia samego cesarza, którego był bliskim krewnym, i za to kochał cesarza. Rózia, to mój Plon-Plon...

Rabin, który aż do tej chwili jak posąg siedział nieruchomy, poruszył się na krześle i nieznacznie się uśmiechnął. Potem wziąwszy szwagra za rękę, rzekł półgłosem:

— Żyj jak chcesz, ale pamiętaj, coś przed chwilą powiedział, że jesteś i zostaniesz żydem! Jehowa tylko tyle żąda od ciebie. W czystości krwi naszej i naszej solidarności leży przyszłość Izraela.. Najdumniejsze ludy ukorzą się, i my nad wszystkiemi panować będziemy. Działając, działaj jednak ostrożnie; gdzie nie będziesz mógł przeskoczyć, tam przeleź; w obec możnych, bądź jako robak mały, który ich ze spodu podkopuje i potem grzebie; nienawiść, jeźli nie będziesz mógł zaraz wywrzeć swojej zemsty, ukryj na dnie twego serca, i dopiero wtedy z nią wystąp, gdy zwycięztwa będziesz pewny, bo lepszy pies żyjący niż lew zabity; a ilekroć nie będziesz mógł czego przezwyciężyć, czekaj, bo największy rozum umieć przeczekać!...

Wypowiedział to poważnie, a głosem tak spokojnym i stanowczym, że każde jego słowo było jako stal nieugięta. Stern słuchał i wszystko rył sobie głęboko w pamięci. Po chwili milczenia rabin zapytał:

— A twoja córka gdzie?

Krótkiemi słowy ojciec opowiedział, gdzie się właśnie znajdowała.

— Niech chorych odwidza, to nic nie szkodzi, zwłaszcza gdy to ciebie tak mało kosztuje — rabin odrzekł. — Ale ilekroć z domu wyjdzie, staraj się zawsze wiedzieć gdzie pójdzie, i z kim się będzie widywała. Jeźli na kogo musimy najbardziej uważać, to na nasze dziewczęta... Niedawno temu czytałem dzieła angielskiego filozofa, Darwina, i wiesz co, on nie taki głupi jak inne goimy. Od niego to dowiedziałem się, że gdy samica dobiera sobie samca, no albo niewiasta mężczyznę, idąc za instynktem, szuka zawsze takiego, który ją uderza siłą i pięknością. Otóż nie da się zaprzeczyć, że chociaż my jesteśmy narodem wybranym, goimy dla tego, że się lepiej karmią, są silniejsi i przystojniejsi, a że mają w sobie pychę, więc się także pięknie ubierają i kłaniają. To się kobietom podoba, i dla tego każda z naszych dziewcząt gotowaby dla „syna starego węża“ *) porzucić wiarę Izraela i zostać chrześcijanką. Na dziewczęta nasze wcale zatem liczyć nie możemy, bo dopiero gdy kobietami zostaną, pod wpływem męża i na widok dzieci, do których kiedyś świat będzie należał, robią się prawdziwemi Izraelitkami, stojącemi nieraz, silniej niż sami mężczyźni, przy naszych sprawach. Teraz rozumiesz, dla czego każę ci strzedz córki jak oka w głowie.

*) Tak żydzi nazywają czasem chrześcijan.

Szwagier chciał coś na to odpowiedzieć, lecz przeszkodziła mu w tem służąca oznajmiając, że pan sekretarz przysłał ją z doniesieniem, że od godziny czeka w kancelarji. Skorzystawszy z powrotu żony, Stern poszedł do garbusa, który stojąc w kancelarji przy oknie frontowem, wpatrywał się w chatę Wasyla, widną na końcu wsi, w prawo od młyna.

— Doprawdy zapomniałem, żem panu kazał na siebie czekać. Ale nie dziwota, człowiek ma na głowie tyle ważnych interesów, że o takiem głupstwie nie ma czasu myśleć. No, niech mi pan powie, jak profesor mój dar przyjął?

— Bardzo się ucieszył i kazał podziękować.

— A jak to powiedział, jak?

— Proszę panu Sternowi podziękować.

— Co to panu, jakiemu panu? To on nie powiedział wielmożnemu panu Sternowi?

— I owszem powiedział — poprawiając się garbus podchwycił — lecz ja sam zapomniałem.

— Tak, to co innego... Panu! panu! jakby ja z nim był za pan brat. — Stern przeszedł się kilka razy po pokoju, zanim zaczął dalej mówić. — Jeżeli się nie mylę, pan znasz redaktora *Teraźniejszości*... przynajmniej kilka razy o nim wspominałeś.

— Nie, redaktora samego nie znam, tylko jego zastępcę i prawą rękę, pana Walerego.

— A tego łapserdaka, co to ma więcej długów niż włosów na głowie?

— Tak jest.

— Tem lepiej... z nim łatwiejsza będzie sprawa. Niech pan zaraz dziś po objedzie napisze do *Teraźniejszości* krótką korespondencję z pod Ludaczowa, mniej więcej tej treści: Z przyjemnością donosimy, że znany i powszechnie ceniony obywatel tutejszy, wielmożny pan Jakób Stern, którego dom jest na wskróś polski i patrjotyczny, ofiarował temi dniami znaczniejszy datek pieniężny dla uczniów szkoły miasta Ludaczowa, bez różnicy wyznania.

— Cały ten datek wynosił tylko pięć reńskich — garbus ośmielił się zauważyć.

— A panu kto każe cyfrę wymieniać? Znaczniejszy datek, to wystarczy... Zakończenie korespondencji niech pan zrobi kwieciste, bo to się podoba.

— Nie wiem czy potrafię.

— Czemu by pan nie miał potrafić? Przecie pan ma dobrą głowę, a zresztą za co ja pana płacę? Razem z korespondencją włoży pan *drei ranesz*, które zaraz dam, i kopertę zaadresujesz do pana Walerego.

— Przyznam się, że nie rozumiem, na co owych trzech guldenów. Możeby lepiej było dać je także biednym uczniom na książki.

— Ojoj! ktoby wierzył, że pan taki niedomyślny! Jak ten Walery list otworzy i trzy reńskie zobaczy, to weźmie je sobie i zaraz wyda, a potem czy zechce czy nie zechce, będzie musiał korespondencję umieścić, gdyż moglibyśmy się u niego o pieniądze upomnieć i skompromitować go przed redaktorem.

— Dobry pomysł, nie przeczę... lecz z tem wszystkiem ośmielę się zrobić jeszcze jedną uwagę. O ile mi się zdaje, wielmożny pan prawdopodobnie będziesz sobie życzył, żeby korespondencje w podobnym guście częściej się pojawiały. Jakaż atoli będzie ich wartość, jeźli każdą z nich będzie podpisywał sekretarz pański? Nawet redakcja powie w końcu, żeśmy samochwalcy.

— Co to samochwalcy? Poeta powiedział *nur die Lumpen sind bescheiden* i miał rację. Zresztą czy to cały świat wie, że pan Henryk Dobrzyński jest moim sekretarzem?

— Dotąd jeszcze nie wie, lecz wkrótce może się dowiedzieć.

— Proszę sobie z tego nic nie robić i napisać com kazał, a co później nastąpi, o tem będziemy mieli czas myśleć. *Lassen wir uns jetzt kein graues Haar darüber wachsen.*

— Spełnię rozkaz, boć to moim obowiązkiem.

— Później już wiem co zrobimy... Albo ksiądz, *dieser gemeine gałech* będzie pisał, lub też Gozdawa. Przecie ja ich mam tu! — To mówiąc uderzył się ręką po kieszeni.

Garbus stał ciągle przy oknie, jakby w oczekiwaniu dalszych rozkazów.

— Aha! jak dziś wieczór będziesz pan przypadkiem u Gozdawy, powiedz mu, że jeźli chce ośm tysięcy na tę pszenicę, co ma od mojej granicy, to mogę mu dać zaraz jutro... Jeszcze jedno. Napisz pan także do miasta i każ sobie zrobić setkę biletów à la minute, ma się rozumieć na mój rachunek, *für sechzig krazer*, a na nich niech będzie wydrukowane po niemiecku: „*Heinrich Graf von Dobrzyński, Sekretaer des Wolgeborenen Herrn Jakob Stern in Ludaczów.*“ Dla cudzoziemców, którzy do nas się zgłaszają, takie bilety będą coś warte.

— Daruje wielmożny pan, że przeciw temu zaprotestuję. Wprawdzie jestem szlachcicem i do tego nie złym, lecz hrabią nigdy nie byłem.

— Przecie pan raz mówiłeś, że Dobrzyńscy są hrabiami.

— Są, lecz to rodzina inna, z którą ja nie jestem nawet spokrewniony.

— A coby to komu szkodziło, jakbyś pan był spokrewniony?

— W każdym razie nie wypada do tego się przyznawać, co nie jest naszą własnością. Zresztą samowolne przywłaszczanie sobie cudzych tytułów jest nawet według ustaw czynem karygodnym.

— Gdzie to ma być karygodne, *in Oesterreich*?! — żyd szydersko zawołał. — Jeźli tylko to pana odstrasza, możesz być spokojnym... Moja w tem głowa... A pan myślisz, że Jakób Stern nie żyje w przyjaźni z takimi jak baron Rothschild, Todesco, i inni? Niech pan zatem będzie spokojny i proszę to robić co sobie życzę. (C. d. n.)

NA BŁĘDNEJ DRODZE.

POWIEŚĆ.

(*C. d.*) Pan de Moranes, gdy był w dobrym humorze po skończonej jakiej pracy, lubił żartować z niej czasem przy objedzie i mówił jej dość cierpko:

— Już pani żyć nie będziesz, gdy historyjek i powiastek do czytania zabraknie. Fabrykują ich więcej niż potrzeba. Jest tylu ludzi bez zajęcia, co różne głupstwa piszą, i tylu próżniaków, lubiących głupstwa czytać.

Za każdym razem, gdy taki uszczypliwy frazes był jej rzucony, panna Dumesnil zacinała usta i uśmiechała się pogardliwie, poruszając kilku włoskami swych wąsików, które jak sucha trawa ocieniały jej nienaruszoną cnotę; poczem odpowiadała zwykle:

— Cały świat panie baronie, nie jest tyle szczęśliwy, żeby zrozumiał lingwistykę.

Nikt nie pojmie, jaka złośliwość mieściła się w tym wyrazie „lingwistyka“. Pierwszą sylabę „lin“ tłumiła pod zębami zaciśniętemi, potem oddychała ciężko wymawiając „gwis“ — a w końcu sycząco wyrzucała „tyka“.

Ten wyraz był do jej sarkazmu dogodny. Gniewała

ją ta nauka, której nie znała, której nie uczono za jej młodości, którą uważała zatem za zbyteczną; — gramatycy (co dla niej znaczyło Noël i Chapsal) oddawna przecież postawili potrzebne reguły językowe.

Pan de Moranes żartował złośliwie ze starej panny, obchodziło go to jednak bardzo mało, co sama czytała, lub co dawała do czytania uczennicy.

Blanka nie lubiła romansów. Zamilowanie w nich panny Dumesnil budziło w niej wstręt. W każdym razie mówiła do Blanki uczciwie:

— Będzie to dobrem dla ciebie, gdy dojdziesz do mego wieku.

W tym wypadku tylko przyznawała się do swej starości, aby swoją słabość wytłumaczyć.

Ale Blanka szła za instynktem natury i melancholji swojej, obawiając się niejako tego, co jeszcze więcej mogło zasępić jej wyobraźnią, a powiększyć sentymentalność.

Zagłębiała się zazdrośnie w tajemnicę, do której nikt nie miał przystępu, która zdolna była ją zabić, ale zostawiała jej rozkosz męczarni ukrytej. Zresztą, aby nie zapomnieć nic przy rozbiorze tego niewinnego serca, trzeba wspomnieć o uczuciu nowem, które ogarnęło od niedawna jej całą istotę.

Od przeszło godziny przysłuchiwała się kroplom deszczu, uderzającym z łoskotem o szyby, i spoglądała przez wielkie drzwi szklanne na zaciemniony horyzont i rysujące się w pomroce cienie drzew.

Panna Dumesnil odpocząwszy należycie, i uważając za ofiarę ze swej strony dostateczną, iż dość długo pozwoliła marzyć Blance, zapytała ją wreszcie:

— Czy nie myślisz, kochanko, kazać podać lampę?

— Jeżeli pani sobie tego życzysz...

Panna Dumesnil powstała. Podłoga, czy też jej zeschłe kości zatrzeszczały nieco. Zadzwoniła; służąca, obeznana z rozkazem dzwonka, ukazała się z lampą, którą postawiła na stole.

Chciała zarazem zasłonić drzwi, które wychodziły na ogród.

— Nie trzeba — rzekła Blanka — zostaw je otwarte.

Lubiła jeszcze wśród światła lampy patrzeć na obraz nocy ciemnej, w której jej myśl się błąkała.

Panna Dumesnil zabrała się do czytania. Cisza zapanowała na okół; mimowolne westchnienie Blanki ją przerwało.

— Czy cierpisz kochanko? — zapytała stara panna.

Blanka nie odpowiedziała wprost, ale szepnęła:

— On nie przybędzie już dziś wieczór.

— Kto? Pan Abel?

Pytanie to naiwne było koniecznem, by uniknąć nieporozumienia, bo to nie o bracie myślała panna de Moranes.

— O! Abel przyjedzie za godzinę. Odpowiedziała potrząsając głową. — Nie jego tak wyczekuję.

Panna Dumesnil założyła palec w książkę, zamknęła ją i uniosła się cokolwiek na krześle:

— Czy czekasz na pana de Rosey?

— Tak.

Nauczycielka uśmiechnęła się lekko, lecz spiesznie przybrała minę poważną, którą zwykle przybierała, gdy chciała odgrywać rolę matki:

— Nie mówiłaś mi moje dziecię, że pan de Rosey miał dziś przyjechać.

— Czekam na niego od tygodnia, pani.

— A!

— Gdyśmy opuszczały Boulogne, zaręczał mi, że skoro tylko pojedzie do Paryża, do rodziny, natychmiast przybędzie tutaj. Już mógł odbyć tę podróż... Dziwię się, że dotąd go niema.

Blanka zaczęła mówić spokojnie, wkrótce głos jej zaczął słabnąć; ostatnie słowa były szeptem.

— Przyjedzie jutro. Czemuż go wyczekujesz dzisiaj? — odparła panna Dumesnil, roztwierając książkę i wyciągając się w fotelu.

— Nie wiem — westchnęła Blanka — ale ciągle myślę o tem, jak chciałabym, żeby przybył razem z Ablem, jeżeli istotnie ma przybyć...

I dodała nagle ze smutkiem:

— Może nie przybędzie.

— Dla czego?

— O!

Nie tłumaczyła się dalej, ale pierś podniosła się westchnieniem, łzy do ócz jej nabiegły; spojrzała na sufit.

Panna Dumesnil zawahała się przez krótką chwilę.

Czy miała czytać dalej i nie pytać więcej, czy też powinna była skorzystać z chwili, aby wybadać Blankę co do rzeczy, którą sobie wyrzucała.

— Kochaneczko — rzekła, zamykając książkę — nie jestem zadowoloną z ciebie i robię sobie wyrzuty.

Po tym wstępie, którego surowość pozorną tylko była, a którą ton pieszczotliwy łagodził, panna Dumesnil zagłębiła się w swoim fotelu, odkaszlnęła lekko i mówiła dalej:

— Skoro w Boulogne zauważyłam nadskakiwanie pana Fryderyka de Rosey...

— Wybacz pani — przerwała łagodnie lecz stanowczo Blanka — ale to ja oświadczyłam pani...

— Bezwątpienia aniołku, bezwątpienia. Oddaję sprawiedliwość twej szczerości i nie miałam wielkiego trudu, aby cię wychować na panienkę prawą, niezdolną do intrygi, zastąpiłam ci, o ile mogłam, twoją matkę.

Blanka, która oparła głowę o poduszkę fotelu, aby z rezygnacją wysłuchać małej mówki panny Dumesnil, zerwała się blada, przestraszona, z oczami pałającemi i drżąc cała:

— Błagam panią, nie mów o matce mojej!

W tym wykrzyku rozpaczliwym przebijało więcej przestrachu, niż boleści sierocej.

— Uspokój się — rzekła dobra panna Dumesnil; Aby załagodzić te słowa, powstała i złożyła na czole wilgotnem swej pupilki pocałunek, który uważała za magnetyczny; miał być macierzyńskim i wywarł pożą-

dany skutek; wąsiki na brodzie guwernantki zbudziły Blankę z jej snu sierocego.

— Wybacz pani... nie wiem co mi jest dzisiaj.

— To ta niepogoda tak cię rozstroiła... Mówiłam ci kochanie, że postąpiłam sobie w Boulogne tak, jak się postępuje z panienką dobrego wychowania i zasad stałych. Powiedziałaś mi, że zdaje ci się, iż młody Rosey kocha się w tobie.

Blanka jeszcze raz łagodnie przerwała,

— Powiedział mi że mię kocha, i powtórzyłam to pani.

— Powiedział ci... jak człowiek dobrego tonu, starający się o dobrze wychowaną pannę. Powtórzyłaś mi to; było to twoim obowiązkiem. Ale ja mój także spełniłam. Patrzę i obserwuję. Uważałam że na balach kasynowych pan de Rosey zapraszał cię do tańca, częściej niż którąkolwiek inną. Widziałam także, że dopiero zaczynałaś tańczyć, gdy pan de Rosey cię zaangażował. Czy to nie przenikliwość z mojej strony?

Panna Dumesnil mówiła z takiem przeświadczeniem, że Blanka mogła była parsknąć od śmiechu, gdyby biedne dziecię było miało ochotę do śmiechu. Scisnęła rękę guwernantki.

— Tak — rzekła łagodnie — dobrze widziałaś pani wszystko i rozumiesz mnię.

— To też dla tego niemniej mam dla ciebie szacunku, ile i miłości — odparła panna Dumesnil — dla tego też zamiast przestraszać się tem jak gąska, która polega na zewnętrznych pozorach, poinformowałam się; wypytywałam dosyć przebiegle, mogę się pochwalić, o stosunki pana de Rosey. Dowiedziałam się, że należy do zacnej rodziny, znanej w biurokracji. Studjował prawo, jest adwokatem, zostanie sędzią; jest bogaty; rodzice jego prowadzą dom otwarty w Paryżu, którego ty będziesz ozdobą. Jest to związek godny barona de Moranes i mojej pupilki. Pozwalam więc na to, co jest dozwolonem w Anglji, na co będę pozwalała i we Francji, gdy zacznę wychowywać młode dziewczęta, aby je sposobić na przyszłość...

Panna Dumesnil nie słuchała często zwierzeń, ale za to lubiła prawić mówki. O mało co nie zaczęła się rozwodzić nad ubliżającą nieufnością, którą świat żywi ku młodym dziewczętom, jak gdyby nie były wzorem godności, niewinności, cnoty i stałych zasad. Czyż sama nie jest tego przykładem?

Stan Blanki, który w niej litość wzbudzał, i ciekawość silniejsza od dumy, kazały jej zakończyć ową rozprawę. Wyraziła swe myśli zdaniem ironicznem.

— Jestem przygotowaną na to, że pan de Moranes, gdy mu opowiem wszystko, zarzuci mi, że to romanse nauczyły mnię tak strzedz młodej panienki. Ja mu dowiodę, że postąpiłam rozsądnie. Umyślnie pozwoliłam na kilka kontredansów; a przypomnisz sobie, że w tej samej chwili napisałam do pana barona, że czujesz się lepiej, i że czas powracać. Czyż nie dopełniłam obowiązku? Powróciłyśmy i od powrotu czekałam na twoje zwierzenia. Na to mogłabym się poskarżyć, a inna połajałaby cię za to. Czemu mi nie powiedziałaś, że pozwoliłaś panu de Rosey przyjechać? Czemu mi nie kazałaś uprzedzić pana barona? Gotów myśleć...

— Mój ojciec nic nie pomyśli — rzekła Blanka z dumą i pewną niecierpliwością. — Nie troszczy się o to, co ja robię, a pochwala wszystko co pani robisz. Dziękuję kochanej pani za wolność, którą mi dałaś w Boulogne, a jeżeli nie zwierzałam się z niczem, to dla tego, że nie było o czem mówić. Pan de Rosey, wydawał mi się, tak samo jak pani, człowiekiem dobrze wychowanym; nie znam świata. Powiedział mi raz jedyny, że mnię kocha. Nie potrzebowałam bronić mu dalszych oświadczeń. Poznał sam, że tutaj musi przybyć, aby powtórzyć swoje wyznania, pomówiwszy o tem wprzód z rodzicami swemi, że tutaj ja mu odpowiem, pomówiwszy wprzód z tobą, z ojcem....

Blanka stłumiła głos, mówiąc o ojcu. Spojrzała na okół z bojaźnią, a potem, patrząc daleko przed siebie, mówiła drżąco:

— Jeżeli pan de Rosey poprosi o mą rękę...

Panna Dumesnil, pomimo swych zasad, swego rozumu i wąsików, oburzyła się na tę obawę dziecinną, która trwożyła elewkę i wstrząsnęła drzewem spróchniałem. Ciekawość gorąca zabłysła w jej oczach, pochyliła się ku Blance i głosem słodkawym powiedziała:

— A czemuż wątpisz, że poprosi o tę śliczną małą rączkę?

— Jeżeli przybędzie! — wymówiła Blanka, przyciskając ręką serce, aby jego uderzenie przytłumić.

— Dla czegoż wątpisz, że przyjedzie?

Blanka chciała się uśmiechnąć, ale zarumieniła się uroczo.

— Odgadujesz, kochana przyjaciółko, cobym mu odpowiedziała, skoro tak się obawiam, że nie przyjedzie.

— Przybędzie!

— Powinien już tu być.

— O mała kokietko!

Blanka poruszyła główką i zwolna rzekła:

— Czy to zalotność, że nie wierzę w szczęście?

— Tak panno — odparła guwernantka — bo to znaczy nie ufać Opatrzności, które dała ci piękność, dobroć, bogactwo, aby cię zapewnić, żeś warta dobrego męża.

— Jeżeli wartam tego, skoro czuję, że chciałabym dla niego żyć i gotowam dlań umrzeć — zawołała Blanka z uczuciem ręce składając — o tak! wtenczas zasługuję na to zupełnie!

Panna Dumesnil przestraszyła się owym płomieniem, który tak blisko niej zabłysnął. Zamknęła książkę szybko i położyła na stole. Nie potrzebowała już romansu drukowanego; ów, który odgrywał się w sercu jej pupilki, był interesowniejszym niż wszystkie książki. Ale Blanka, zawstydzona tym wybuchem, powstała i zbliżyła się po drzwi szklannych, aby popatrzeć lepiej na noc czarną, rozpościerającą się przed nią.

Pozostała tak chwilę z czołem opartem o szybę.

Nagle pochwyciła za klamkę i na oścież drzwi otwarła.

Gęste krople deszczu wpadły do pokoju.

— Co robisz! zaziębisz się — zawołała panna Dumesnil, zaciskając chusteczkę około szyi.

Blanka obróciła się do niej.

— Czy słyszysz pani?

— Słyszę jak wiatr świszcze. Zamykaj drzwi kochanie. A! pan Abel ma brzydki czas!

— To on! — rzekła Blanka.

— Twój brat?

— Nie... ten drugi...

Słuchały. Tentent konia dochodził ich uszu.

— Prawda — odparła panna Dumesnil — pan Abel jedzie powozem.

Stara panna powstała i zbliżyła się do wychowanicy z rodzajem dziecinnego zachwytu. Ów odgłos cieszył ją jak muzyka romansu. Pan de Rosey przybywał jak prawdziwy bohater, nocą wśród burzy. Jak to pięknie!

Koń zatrzymał się u bramy. Zadzwoniono, otworzono; pan Fryderyk de Rosey sam tylko wszedł na dziedziniec. Przywiązał konia u bramy i wszedł skromnie, zbłocony, przemokły, bo płaszcz, który zostawił w przedsionku, nie ochronił go od deszczu. Tak przedstawił się pannie de Moranes i pannie Dumesnil, witając je nizkim ukłonem.

IV.

Blanka, która gotową była wybiedz naprzeciw młodego człowieka, cofnęła się i oparła o krzesło. Nie wstydziła się swojej radości, lecz powstrzymała ją blada twarz pana de Rosey.

Zalotna a próżna kobieta, przypisałaby tę bladość wzruszeniu; Blanka przeraziła się i zbladła straszliwiej. Jej przeczucia miały się sprawdzić.

Fryderyk de Rosey miał lat dwadzieścia dwa. Był średniego wzrostu i kształtnej postawy, z twarzą pełną dobroci, o rysach regularnych, inteligentnych. Poświęcał tradycjom familijnym i swemu powołaniu urzędowemu zarost, którego niebieskie ślady ocieniały jego usta. — Brwi czarne, gęste, nie dodawały energji jego fizjonomji, lecz przeciwnie służyły często do przyćmienia spojrzenia lękliwego, któremu ulegał, skoro ktoś obcy nań badawczo spoglądał.

Badacz powierzchowny byłby sądził z tego, że Fryderyk nie był odważnym. Byłby się mylił. Jest odwaga, która przez dumę kryje się czasami, nie przyjmuje walki z lada kim, ale nie ustępuje, gdy jest zaczepioną, a pogardza buntem.

Pochodząc z rodziny biurokratycznej, wychowany starannie przez matkę rozumną i szlachetnych uczuć, Fryderyk nauczył się za młodu postępować honorowo i nie zbaczać z tej drogi. Wstępował w życie czysty — zrażał się często napotykaną brutalnością, ale się z niej otrząsał.

Oto dla czego, jako zwiastun złej nowiny wchodził blady, zmięszany, drżący, ale pomimo to stanowczy.

Po ukłonie powitanym, nastało milczenie.

Panna Dumesnil wyprostowała się zwolna po ceremonjalnem, niby macierzyńskiem skłonieniu głowy.

Blanka jakby martwa patrzyła na Fryderyka, który nie znajdując stosownego słowa wyciągnął do niej rękę.

Ruch ten, zamiast uspokoić pannę de Moranes, podwoił jej trwogę. Nie widziała w nim bowiem serdeczności narzeczonego, lecz życzliwość przyjaciela. On nie prosił o jej rękę, on jej swoją ofiarował, by usprawiedliwić boleść, jaką miał sprawić.

Blanka oparła się mocniej o poręcz krzesła obiema rękami i rzekła cicho:

— Mów pan przecież!

Fryderyk zawahał się.

Panna Dumesnil wzięła to za zwyczajne pomięszanie zakochanego i przypisała je niedoświadczeniu młodego człowieka. Chciała mu przyjść w pomoc, więc spoglądając na niego, uprzejmie zapytała:

— Czy mam uwiadomić pana barona, o przybyciu pańskiem?

Fryderyk zadrżał.

— Nie! — zawołała Blanka.

— Jednakże zdaje mi się że to konieczne! — rzekła panna Dumesnil z godnością.

— Zdaje mi się — przerwała Blanka — że pan Rosey chce ze mną samą wprzód pomówić.

— Z tobą samą? — zapytała nauczycielka ściągając brwi i prostując się.

Zdawała się być więcej zawiedzioną, niż urażoną.

— Tak, błagam panią, w imię przyjaźni, abyś zezwoliła...

— Sam na sam! — wołała panna Dumesnil z przerażeniem — usuwasz mnię?

Blanka starała się uśmiechnąć.

— Proszę panią o ten sam dowód szacunku, jaki dawałaś w Boulogne... Mamy sobie do powiedzenia coś takiego, co nie radzibyśmy byli, żeby kto słyszał.

— Co, tajemnice?

— O których się pani później dowiesz.

Panna Dumesnil potarła palcem wąsiki, zapewne, aby się nie nastrzępiły.

Nie mogła posądzać swej wychowanicy, bo wierzyła w nią, jak w swoją własną cnotę. Rozrzewniły ją niewinne skrupuły tych dwojga młodych. Była to z jej strony ofiara, że nie korzystała z owej nieznanej słodyczy pierwszego wyznania. Sądziła, że, aby być konsekwentną w swych zasadach, musi dać trochę wolności swej wychowance. Zakrywano przed nią uroczy, pierwszy rozdział romansu, ale miała z niego później korzystać.

Zdobyła się na serdeczne westchnienie.

— Zostawiam cię — rzekła do Blanki; — a zwracając się do Fryderyka, z grymasikiem niby czułym, grożąc mu palcem dodała:

— Nie bądź pan zarozumiałym! na drugi raz zostanę.

Skłoniła się ceremonialnie, jak ją nauczono u pani Campan, i wyszła wzruszając głową, która zdawała się trzeszczeć przy każdem poruszeniu.

Skoro tylko panna Dumesnil wyszła, Blanka upadła bezsilnie na krzesło, i rozpaczliwie zawołała:

— Przychodzisz mnię pan pożegnać, wszak tak?

Fryderyk nie umiał kłamać; zrobił heroiczne wysilenie.

— Pożegnać, dla czego pani?

Głos mu drzał.

— Nie wiem, ale odgadłam! — Blanka odrzuciła.

— Mylisz się pani.

— A więc co mi pan powiesz?

Fryderyk przysłonił brwiami, oczy łzami zaszłe, zbliżył się, pochylił i zgiął kolano, na które chciał klęknąć przed Blanką, ale ona odsunęła krzesło i z bolem podniosła się:

— Nie, o nie, ani jednego słowa, któreby prawdą być nie miało! Więcej bym nie cierpiała słysząc je, niż cierpię patrząc na pana.

Stopniowo uspakajała się i nabierała sił niezwykłych.

— A jednak, tylko prawdę chcę pani powiedzieć — rzekł Fryderyk łagodnie i smutnie, gdy ci mówię, że cię kocham.

— Tak, ale nie chcesz, abym twoją żoną została?

— Ja? wielki Boże!

— W takim razie to twoi rodzice!... matka, czy tak?

Fryderyk zarumienił się jak student. Ta przenikliwość podwójnie go przerażała, bo jeżeli zadawał jej ranę, ona zdawała się to usprawiedliwiać. Zrozumiał, że do tej odważnej młodej dziewicy trzeba mówić otwarcie, aby jej nie upokarzać.

— W istocie, moja matka napisała mi — szepnął.

— Więc pan nie byłeś w Paryżu?

— Powróciłem z tamtąd przed tygodniem.

— Przed tygodniem? A dziś dopiero widzę pana!

— Bo od powrotu czekałem na list, który dopiero odebrałem.

— Czy mogę zobaczyć ten list?

— Jeżeli pani tego żądasz, owszem.

Blanka wyciągnęła rękę po list; ale cofnęła ją.

— Nie, to nie potrzebne, wolę słuchać pana. Jaki powód podają, że bronią panu poślubić pannę de Moranes, bo tu o to chodzi, czy nie?

— Żadnego powodu.

— Jakto?

— Matka przyzwyczajona do mej uległości, do mego szacunku.

Fryderyk mówił to z takiem poddaniem, tak ulegle, że Blanka omyliła się sądząc, iż gotów był do nieposłuszeństwa.

— Więc to — rzekła z goryczą, spoglądając rzewnie na Fryderyka — w imię tego szacunku tylko, pani de Rosey pisze: „Dziecko kochane, gniewam się sama na siebie, ale nie możesz się żenić z panną de Moranes.“

Blanka musiała odgadnąć nie tylko intencją, lecz nawet słowa listu, gdyż Fryderyk z rodzajem przerażenia schwycił się za piersi jak gdyby chciał zasłonić pismo matczyne. Blanka, przeźroczysto blada jak istoty śmiercią zagrożone, zdawała się przemieniać, a światło nadziemskie biło z jej twarzy.

— A pan — rzekła cicho — mimo uległości i szacunku, czemu przypisujesz tę odmowę?

— Wystawiam sobie, że jest nieuzasadnioną. Kocham, i chcę cię zaślubić.

Blanka uśmiechnęła się lekko, uśmiechem tym dziękując Fryderykowi.

— Czybyś chciał być nieposłusznym? — zapytała.

— Nie mogę być nieposłusznym moim rodzicom, jak nie mogę ciebie zapomnieć; ale przysięgam ci, że żoną moją zostaniesz, jak poprzysiągłem sobie, że zawsze uległym synem będę.

— Na jaką pomoc liczysz?

— Na sprawiedliwość mojej matki, więcej jeszcze niż na jej dobroć.

— Na jej sprawiedliwość, a jakże ją przekonasz, jeżeli nie znasz powodów?

— Ona tak dobrze mnię przyjęła! Tak się ucieszyła, gdy cię jej opisałem, była serdecznie wzruszoną, skoro jej opowiedziałem nasze zwierzenia, bo ja mówię wszystko mojej matce, a byłem szczęśliwy, że mogłem mówić o tobie... dopiero nazajutrz po mych wyznaniach zwróciła mi uwagę...

— Na mój majątek?

— Nie.

— Na nasze nazwisko, naszą pozycję w świecie?

— Nie. Czyż nie powinienem być dumny, że mam zostać zięciem barona de Moranes?

— W takim razie, na cóż?

— Na wszystko, i na nic. Mówiła mi o twojej i mojej młodości. Wyrzucała mi, że zaczynam życie od szczęścia, gdy powinienem rozpocząć je od obowiązku. Mówiła, że niemam jeszcze pozycji. Wszystko to potwierdził mój ojciec. On, którego czczę i kocham, przyzwyczaił się jako urzędnik badać wszystko gruntownie. Musi zgłębić wprzód wszystko, zanim pozwoli, lub zabroni; ale wtenczas wydaje wyrok. Nie pozwolił zostać mi w Paryżu, mam podróżować. Prosiłem usilnie, aby mi pozwolono zostać w Boulogne i tam czekać na stanowczą odpowiedź. Tę odpowiedź właśnie odebrałem, a honor nakazywał mi powiedzieć ci całą prawdę.

— Dziękuję panu.

— Ale — mówił; zapalając się Fryderyk — tej przeszkody, tego przesądu, tego czegoś, słowem co nas niby rozłącza, będę szukał, odkryję i pokonam.

— Nie, o nie — zawołała przestraszona Blanka.

— Dojdę do prawdy, zaręczam ci!

— Nie chcę, nie chcę tego — szeptała Blanka z chorobliwą boleścią.

— Nie chcesz?

Szlachetna twarz Fryderyka, wyrażała takie zdziwienie, że Blanka przestraszyła się, iż ma jakieś podejrzenie. Nie wiedziała co powiedzieć, aby przyjąć tę prośbę rozłączenia lub wyrzut miłości, która chciała zbadać tajemnice rodzinne. Ukryła głowę w dłoniach i płaczem wybuchła.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Między siedemnastym a dwudziestym rokiem.

NOWELLA.

(Dokończenie.)

Zaraz po owym balu, okupił się w naszych stronach Żmujdzin Szypywało. Kolos ten rodyjski, miał stóp ze siedem wysokości, i szerokość w proporcję. W jego kaloszu, drobna jak ja osóbka, mogła śmiało, niby w łódce, na stawie się przejechać; a w rękawicę łosiową, ćwierć zboża byłoby się zmieściło niezawodnie. Gdy kichnął, można było przysiądz, że ktoś z armaty wystrzelił, gdy zaś śmiał się lub mówił tylko trochę z większym animuszem, to dom drzał w posadach.

Mnie wydawał się zupełnie podobny do olbrzymiego byka mego wuja, Basia jednak nim się zachwyciła, i do pół roku była jego najszczęśliwszą żoną, chociaż jadł i pił za dziesięciu. Miłość była, jest i będzie ślepą.

Nie mściłam się na niej i nie robiłam żadnych uwag co do byczej postawy jej szanownego małżonka. Tyle zawdzięczając wujostwu, razem z nimi cieszyłam się szczęściem ich jedynaczki, gdyż istotnie olbrzym był dobry i łagodny jak baranek, i Basia go sobie koło palca mogła owinąć, mimo że tak straszno wyglądał.

Wujostwo radzi byli, że choć ja dłużej w domu zostaję. Wzięli mnie do siebie dwuletnim dziecięciem, po śmierci obojga rodziców, więc zupełnie za drugą córkę uważali.

Nie powiem jednak, by mi czasem serce się nie ścisnęło, na widok szczęścia domowego Basi. Nieraz jeszcze srogie jej o to robiłam wymówki, że tak los mi popsuła, i przyznawałam się jej, że dotąd nikt mnie już tak nie zajął, nikt serca nie rozgrzał, tem uczuciem żywem, rozkosznem, które wtedy czułam. Nieraz powtarzałam z poetą:

„Jak cień tem dłuższy, gdy padnie z daleka,
„Tem szerzej koło żałobne roztoczy:
„Tak jego postać, im dalej ucieka,
„Tem grubszym kirem mą pamięć omroczy.

— O teraz chętnie bym pychę z serca zrzuciła — kończyłam ze łzami moje zwierzenia — chętnie bym go przeprosiła, byle mi chciał przebaczyć.

Dopiero gdym go z drugimi porównała, wiem ile warte takie serce przywiązane, taki człowiek szczery, nie fanfaron, nie samolub, który byłby mnie nie ledwie na rękach chciał nosić. Za późno niestety, za późno!

Basia najczęściej nic nie odpowiadała, myśląc zapewne w tej chwili o swoim olbrzymie, lub o którem z dzieci.

Nadchodziła dwudziesta rocznica mego urodzenia. Tym razem Basia oświadczyła rodzicom, że chce im oszczędzić kłopotu, i ona dla mnie balik wyprawi. Mąż nic nie miał przeciw temu. Do licznych jego przymiotów, należała dobroduszna wesołość i serdeczna gościnność. Czuł się najszczęśliwszym, gdy mógł dużo gości przyjmować. Jednocześnie miały się odbyć chrzciny ich córeczki, którą dla mnie Rózią nazwali. Dom mieli obszerny; sala do tańcu okrągła, bardzo duża, miała posadzkę jak szkło gładką; drzwi szklanne wpuszczały w lecie dostateczną ilość powietrza, cudną wonią róż i innych kwiatów zaprawionego. Olbrzym lubił kwiaty pasjami, i nie żałował pieniędzy jak inni gospodarze na ogród i ogrodnika.

Przyjechałam zrana dość wcześnie, chcąc być Basi w czemś pomocną.

— Życzę ci szczęścia Róziu, tak pełnego, jakiego Bóg mnie użyczył — przemówiła Basia, ściskając mnie już na ganku przed domem, — i patrząc czule w oczy swojemu olbrzymowi. — Teraz spodziewam się po tobie więcej rozumu. Gdy szczęście zapuka, może go nie odepchniesz tak lekkomyślnie, jak przed trzema laty.

— Oj, oj! Pstro tam jeszcze w tej główce, choć dwadzieścia latek cięży na karku — zauważył olbrzym jowialnie. — Za ten wielki rozum i stateczność panny Róży, bałbym się zaręczyć. A czyż to na każdym balu nie bałamucimy się z innym, co?

— Bo żaden nie wart, żeby się dłużej nim zajmować — z przekąsem odrzuciłam. — I Basia tak niegdyś robiła, a dziś jaka z niej stateczna osoba.

— No — zaśmiał się poczciwy Żmujdzin, że aż szyby zabrzęczały — gdzieżby w całej waszej nędznej Galicji znalazła drugiego takiego, jak ja nie chwaląc się. Taż to ja tych waszych Pigmejczyków, każdego jak laleczkę na dłoni sobie poniosę.

I my śmiać się zaczęły, wchodząc do domu, w którym mnie czekała miła niespodzianka, prześliczna nowa różowa toaleta, przez Basię na dzisiejszy wieczór mnie ofiarowana.

— To jedna siurpryza — Basia mrugnęła figlarnie — na drugą musisz czekać aż do wieczora.

— Powiedz, powiedz! — błagałam zaciekawiona.

— Nic z tego, panno ciekawska. Cóżby to była za niespodzianka, gdybyś się już teraz o niej dowiedziała.

Przy obiedzie, na którym był proboszcz miejscowy, mający chrzcić małą Rózię, i wujostwo także na niego zjechali, wspomniał coś mąż Basi o nowo zamianowanym szefie naszej najbliższej stacji kolejowej, lecz nazwiska nie wymienił. Nie zwróciłam wcale uwagi na tę wiadomość.

Po obiedzie goście coraz tłumniej zjeżdżać się zaczęli. Chrzest się odbył wcześniej, by potem wieczór nie przeszkadzał; wreszcie i muzyka grać zaczęła.

Gdym weszła ubrana na salę, ku wielkiemu memu zdziwieniu spostrzegłam pierwszego porucznika C.,

z którym miałam trzy lata temu tańczyć owego nieszczęsnego kadryla.

— Czyż to by miała być owa niespodzianka — pomyślałam. — Dość niesmaczna co prawda! Basia wie przecież ile przykrych wspomnień widok jego w mej duszy wywołuje.

Porucznik dotąd był kawalerem i obecnie stał we Lwowie. Gdzieś na polowaniu poznali się i pokochali z panem Szypywało, który nic żonie nie mówiąc na wieczór go zaprosił.

Gdy mnie ujrzał porucznik, nadmienił coś o przyjemności, że mnie znowu może powitać, i podał ramię do walca, którego teraz zagrano.

Pędzimy przez salę jakby wichrem niesieni; gdy w tem stłumione ach! wyrywa mi się z piersi i na pół zemdlona słaniam się na ramię memu danserowi.

— Co to jest, co się pani stało? — pyta przestraszony, sadzając mnie na fotel najbliższy.

— Nic, nic — bąkam ni to ni owo. — Te nieznośne szpiczaste obcasy! Noga mi się raptem zwichnęła... ból okropny w kostce... ale już mija... już przechodzi... Tylko tańczyć zaraz nie będę mogła.

Chociaż na wsi wychowana, nie byłam o tyle naiwną, by zdradzać uczucia najskrytsze przed zupełnie obcym człowiekiem.

Przy drzwiach wchodowych ujrzałam nagle wśród tłumu mężczyzn pana Kwiatkowskiego, i to zjawienie o mało mnie przytomności nie odebrało.

Serce biło mi tak gwałtownie, iż myślałam, że wszyscy przez suknię uważać to muszą. Przeszłam do innych pokoi, udając jakobym na nogę utykała.

— Jakże ci się podoba niespodzianka — spytała Basia, zajęta układaniem biufetu.

Blada i drząca nie znalazłam odpowiedzi.

Wyszła aby coś zadysponować, a drugiemi drzwiami do salonu prowadzącemi, zjawił się pan Kwiatkowski, wciągający rękawiczki i zapinający je niedbale. Rozglądnął się po sali, jakby kogoś szukał, a spostrzegłszy mnie przemówił zimno i konwencjonalnie:

— A witam panią — łaskawej pamięci o dawnym znajomym naszej pięknej gospodyni, zawdzięczam przyjemność, iż po tylu latach znowu panią widzieć mogę. Ale gdzież pani Barbara? Raczyła mi obiecać pierwszego kadryla. Zdaje mi się nawet, że go z panią *vis* à *vis* tańczymy.

Tak było istotnie. Kolega pana Kwiatkowskiego, inżynier P., wszedł i podał mi ramię do kadryla. Tańczyłam jak senna, jak nieprzytomna. Wzrok mój przykuty był do ziemi, do nóg pana Zdzisława. Trzymał je podług wszelkich reguł w trzeciej pozycji, a wszystkie jego ruchy były tak dystyngowane, tak pełne gracji niewymuszonej.

Miałam w tej chwili chęć niepohamowaną rzucić się na Basię i udusić ją po prostu. Dręczyła mnie, dogadywała, a to wszystko kłamstwem było! Czyż może być kto więcej eleganckim, salonowym człowiekiem, od pana Kwiatkowskiego?

Ani wiem jak byłam w stanie kadryla dokończyć. Osłabiona, oszołomiona, wyszłam na werandę, aby świeżem powietrzem cokolwiek się otrzeźwić.

— Jak też lata ludzi zmieniają — zabrzmiał mi nad uchem głos Basi. — Ktoby poznał w dzisiejszym skończonym salonowcu, owego niezgrabiasza ze szczypcami rakowemi, i z frakiem jak worek na nim wiszącym.

— Proszę cię, idź sobie, i nie mów o tem więcej ani słowa! — wybuchłam drżąc od gniewu. — Uwzięłaś się wtedy by zniszczyć szczęście moje; nakłamałaś, napletłaś niestworzonych rzeczy, a ja głupie dziecko wszystkiemu uwierzyłam. To nigdy nie istniało, nigdy prawdą nie było; tylko tyś to wszystko wymyśliła. Przestań mnie dręczyć, bo będzie nieszczęście!

— Róziu, opamiętaj się. — Basia widząc moją bladość śmiertelną, aż o krok się w tył cofnęła. — Co cię znowu napada? Czyż wszystkiego własnemi oczami nie widziałaś?

— Moje oczy inaczej na niego patrzyły, zupełnie inaczej, pókiś ty mnie nie zbałamuciła! — krzyknęłam chwytając się oburącz za głowę, taki ból skronie rozrywający w niej uczułam.

— Czem się panie tak alterują, czy wolno wiedzieć? — spytał niespodzianie pan Kwiatkowski, stając między nami.

— Mówiłyśmy o panu — Basia z najzimniejszą krwią odrzekła:

— Dziwi mnię, że taka jak ja figura nic nie znacząca, mogła między paniami tak żywy spór wywołać.

— O! przepraszam — Basia żywo zaprotestowała. — Człowiek taki jak pan póki się nie ożeni, przeciwnie wiele znaczy i bardzo interesuje młode panienki. Otóż Rózia w tej chwili obsypuje mnie srogiemi wymówkami, za to jeszcze co się przed trzema laty działo. Wypomina, że wtedy pana przed nią niesłusznie ogadywałam, że ja temu winnam jedynie, iż chwilowo widziała pana w innem świetle, niż z początku... i tam dalej... i tam dalej...

Niegodziwa zaśmiała się w głos, wykręciła na obcasie, i znikła nam z oczu.

— A więc pani Szypywało, ogadywała mnie niegdyś przed panią — rzekł pan Kwiatkowski, siadając bez ceremonji na Basi miejscu obok mnie. — Gdybyś pani raczyła powtórzyć mi jej słowa ówczesne; byłoby to dla mnie studjum nader interesujące.

Boże! byłże to ten sam czuły, nieśmiały młodzieniec, który dzisiaj tak lekko, takim drwiącym tonem do mnie przemawiał? Uczułam w sercu ból jak od noża zimnego, lecz to mi właśnie dodało odwagi i głos w piersi ściśniętej przywróciło.

— Gdybyś pan był łaskaw spytać o to samej Basi; ja na takie pytanie, odpowiedzi dać nie mogę.

— Dlaczego? O przeszłości możemy mówić całkiem swobodnie, jakby nas się wcale nie tyczyła. Tak się od tego czasu zmieniliśmy oboje.

— O pan istotnie zmieniłeś się nie do poznania — westchnęłam mimowoli.

— Pani wzdychasz. Więc znowu widocznie nie podobam się pani w tej nowej odmianie. A ja wcale czego innego się spodziewałem.

— Nie powiedziałam przecie, że mi się pan dzisiaj nie podobasz — bąkałam nieśmiało — tylko... tylko...

— Panno Różo! — przerwał mi nagle — potańcujmy drugiego walczyka. — Czy zgoda?

Pamiętałam że źle walcuje, lecz z najwyższą radością przyrzekłam mu taniec żądany.

Opuścił mnię. Przez drzwi otwarte widziałam jak się zbliżył do Basi, jak długą a cichą rozmowę z sobą prowadzili, słyszałam ich śmiech wesoły; ach! a mnie tak smutno było w duszy.

Po chwili znowu zjawił się pan Zdzisław na werandzie.

— Czyś pani tym razem o walcu nie zapomniała? — przemówił z naciskiem.

To słowo dotknęło mnie do żywego, odpowiedziałam jednak z całym spokojem i łagodnością:

— Teraz nie zapominam raz danych przyrzeczeń! Tylko gdy się jest młodą, popełnia się podobne niedorzeczności.

— Co do tej kwestji, pozwól mi pani energicznie zaprotestować — przerwał mi grzecznie. — Z pączka, rozwinęłaś się w kwiat piękny, oto cała różnica. Raczysz więc pani przyznać, żeś była wtedy trochę... trochę... kapryśną.

— Przyznaję, przyznaję — żywo odrzuciłam. — Dawno już przyszłam do tego smutnego przekonania, że wtedy źle uczyniłam, a nie starałam się złego naprawić. Wierzaj mi pan — ciszej dodałam — żem czynu lekkomyślnie popełnionego serdecznie żałowała.

Coś z dawnej czułości błysło w jego pięknych, czarnych źrenicach. Muzyka już walca grała.

— Zaczyna się pani tortura — szepnął mi pan Zdzisław w pół obejmując. — Musisz tańczyć z najgorszym danserem.

Nowa niespodzianka: Tańczył cudownie, doskonale, jak sam Bóg tańcu! Byłam znowu w siódmem niebie, dawne dziecięce uczucie, miłość moich lat siedemnastu, serce mi rozpierało.

Walc się skończył; pan Zdzisław usiadł obok mnie:

— Dzięki ci pani — czule przemówił — że znowu w tobie dawne serdeczne dziecię odszukuję.

Dreszcz rozkoszna po żyłach mi przebiegła.

— Więc już się pan nie gniewasz? — radośnie zawołałam — i nie uważasz mnie pan więcej za... głos się urwał, nie mogłam dopowiedzieć, strasznego wyroku, jaki wtedy z ust jego usłyszałam.

— Za przeciwieństwo z wymarzonym przezemnie ideałem? — dokończył pan Zdzisław — nie panno Różo, i za to właśnie wdzięczny ci jestem.

Cała sala zaczęła wirować w koło mnie. W oczach mi się ściemniło. Znalazłam jeszcze tyle siły, by wypowiedzieć słów kilka z głębi serca pochodzących, a potem krokiem chwiejnym, jak upojona, wyszłam ze sali.

Przy kolacji, do której znowu wróciłam, pan Zdzisław jadł jak wszyscy, a pił nader umiarkowanie. Gawędził ze mną równie serdecznie jak niegdyś, tylko ze swobodą dojrzałego człowieka. Powiedział między innemi, że został szefem naszej stacji najbliższej. Nie ukrywałam wcale, jaką mi to uciechę sprawiło. Po kolacji odtańczyliśmy ze sobą kotyljona.

Zaczął znowu po dawnemu bywać w domu wujostwa. Ze stanowczem słowem ociągał się jednak dość długo.

Serce moje to słodką nadzieją się poiło, to znowu zwątpieniu się oddając, z bolu prawie zamierało.

Wreszcie... a było to już w późnej jesieni — wszedł raz *en grande tenue*, z bukietem w ręku z samych fiołków i białych kamelji, mimo pory, w której podobne kwiaty są nadzwyczajną rzadkością.

— Niech ten bukiet zatrze w umyśle twoim pani, pamięć owego snopa niezgrabnego, który mógł istotnie obrazić zmysł estetyczny. I ja byłem wówczas takim samym snopem, jak i bukiet, który ci ofiarowałem; nie dziw więc, że i ja równie wstrętnym ci się wydałem.

— Na miły Bóg! — ręce załamałam rozpaczliwie — kto panu mógł powiedzieć, że ja się kiedy troszczyłam o podobne drobnostki?

— Najprzód poczciwi koledzy oczy mi otworzyli na różne śmieszności i wykroczenia przeciw kodeksowi towarzyskiemu przezemnie popełniane. Nie byłem nigdy zarozumiałym. Zamiast się gniewać, uznałem słuszność ich uwag i zabrałem się do radykalnej reformy, moich nóg i rąk; tudzież do poskromienia zbytniego apetytu, z którym z młodzieńczą szczerością i nieopatrznością zanadto się popisywałem. Resztę dopowiedziała mi ta, która pierwsza zwróciła twoją uwagę pani na różne moje błędy i przywary. Dodała jednak, żeś tego szczerze żałowała, iż tak niemiłosiernie dałaś mi uczuć twoją niełaskę, żeś nigdy nie wygnała mnie całkiem z twojej pamięci; że w sercu twojem, tli bodaj słaba iskierka tego ognia, z którym ja cię od trzech lat kochałem i kocham. Czy chcesz mi być żoną i najmilszą towarzyszką w złej i dobrej doli Róziu najdroższa?

Spuszczam zasłonę na to, co później nastąpiło. Gdzież słowa, które byłyby zdolne opisać chwile podobnego szczęścia i podobnego zachwytu!

Ile lat jestem najszczęśliwszą żoną, męża przezemnie ubóstwianego, wcale do rzeczy nie należy. To tylko jeszcze nadmienić muszę, iż dotąd nie mogę Basi zapomnieć, że przez nią straciłam trzy lata szczęścia tak doskonałego, które można nazwać prawdziwym rajem na ziemi. I na tem szczerem wyznaniu kończę.

KONIEC.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: W Maniecki.